

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Natchnienie.

Są gdzieś w głowie myśli — cacka,
Są gdzieś czucia w piersiach z gliny,
Jest coś w świecie co znienacka
Targnie czasem te sprężyny.
I rozbudzi śpiące tętno,
I wywoła myśl pamiętno, —
Rzadko kiedy gość ten spłynie,
Krótko bawi i ucieka,
Ale póki on w gościnie,
Czarodziejstwo w duszy człeka!
Człek odchodzi od pamięci,
Bosko marzy, łąza się kręci,
Mzą się kręgi przed oczyma,
Serce bije, włos się wzdyma,
Krew ukropem w żyłach bieży,
Twarz w promieniach, czoło w pocie,
Aż westchnienie pierś odświeży,
Jako wietrzyk po spiekocie:
Wtedy spojrzysz na naturę...
W czarującej świat postaci —
Człękby śpiewał — leciał w górę,
I uściskał ludzi braci...
Ach! w tym stanie tak słodziutko
Wiekuiste żyćby lata,
Lecz gość miły bawi krótko,
Lada zimne technienie świata,
Lada mgnienie, lada chwila,
Pierzcha bystrzej od motyla —
Głowa zimniej, zimniej marzy,
Serce słabiej bić pocyna,
Ustępuje ogień z twarzy,
Człowiek znowu kość i glina.



Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Jezus! Marya! — szepnął Stach, otwierając zamglone oczy.

— Uspokój się, panie rycerzu! — rzekł, nachylając się nad nim Baryłka — twój dawny gospodarz z „Pod ryby“ czuwa nad tobą. Niela da się odznaczyć musiałeś, kiedy cię miłościwy nasz pan na rycerza pasował. Napij-że się jeszcze kilka kropli wina. Wróć ci siły, zobaczysz, Bóg mężnych nie opuszcza.

I pocziwy Baryłka wraz z Piętka, opatrzywszy rannego, ułożył go na miękkim z liści posłaniu. co uczyniwszy, zaczął myśleć o własnem bezpieczeństwie.

— W uroczysku, może ztąd o ćwierć mili, stoją nasze wozy — mówił Baryłka — kiedy bitwa się skończyła, trzeba po nie posłać.

Posłany pacholek wkrótce sprowadził wozy swego gospodarza, a wraz z nimi kilku młodych parobczaków. Na wozach znalazły się beczułki z wybornem winem, ryby suszone, szynki wędzone i owoce.

Gwar bitwy właśnie zupełnie ucichł w głębi puszczy, tak, jak oddala się burza, spędzona wichrami.

— I na nas czas! — rzekł Baryłka, nalewając wina w kubki miedziane — posilimy się i w drogę!

— Ale dokąd? — zapytał Piętka, przyjmując podany sobie kubek.

— A dokąd-żeby? do Krakowa.

— Ba! toć my ztamtąd z tym oto rannym

rycerzem wracamy. Niemcy gotują się tam do uporczywej obrony. Z nimi nielatawa sprawa.

— A ot, nie widzieliście, co ich tu i Czechów przy tym brodzie spotkało? Da Bóg i pod Krakowem tak będzie.

— A któż tu tym obieżyświatom tak skórę przetrzepał?

— Jakto, nie wiecie? Sam pan nasz miłościwy Łokietek! Żaden oracz tak się nie napracuje, jak on. Nie doje, nie dośpi, jeno gdzie meże, kropi tych gałganów, co z końca świata spadli, jak jastrzębie, na nasze miasta i siola.

Mówiąc to, Baryłka doglądał, aby Stacha wygodnie na jednym z wozów ułożono.

— Mój Boże, dzielny chłopiec! — powtarzał — pilnować go będę, jak oka w głowie! Stachu! mój chłopaku, żyjesz?

Ranny otworzył oczy, na zbolalej, bladej jego twarzy odbiło się uczucie radości.

— Chwała Bogu miłosiernemu — szeptał — że w waszej jestem opiece.

— Bądź cicho, miły Stachu! — radził zacny Baryłka — bo rozmowa ci zaszkodzi. Zawiozę cię do Radziejowa, bo, jak słysze, Niemcy w Krakowie panami. Po miesiącu wsiądziesz znowu na konia.

Ranny przymknął oczy, ale naraz je otworzył i zapytał:

— A król gdzie? — zwyciężył?

— Pewnie że nie inaczej, bo jakby tak nie było, to nie rozmawialibyśmy tu z sobą, nijak w gospodzie za piecem.

— Znowu radość zajaśniała na zbolaleńcu młodemu rycerzu.

— Bogu Przedwiecznemu dzięki! Bogu dzięki! — szeptał, przymykając oczy.

Imć Baryłka wlał mu znowu do ust spieczonych kilka kropel wina, poczem dał znak i wóz zwolna ruszył po miękkiej leśnej murawie.

— W stronę Radziejowa! — rozkazał pan Roch, siadając z Piętką na drugim wozie, między dwoma beczułkami wyborowego wina, umieszczonymi za przedniem i tylnym siedzeniem.

Obaj trzymali w ręku kubki i raczyli się winem.

Niebawem Piętka odzyskał dawny animusz i zaczął szczegółowo wypytawać, z kąd się Baryłka wziął w puszcy, nad rzeką, co słyszał o Łokietku, czy go nie widział, czy nie wie, gdzie obecnie przebywa?

— Jak nie możecie powiedzieć, dokąd orzeł tatrzański poleciał, kiedy się z nad skał lub dolin zerwie, tak nikt nie jest pewnym, z kąd i dokąd nasz pan miłościwy na Niemców i Czechów napadnie.

Niemalże zwiedziłem świata, mój drogi jego-mościu — prawil po chwilowej przerwie Baryłka, za pan brat poczynając sobie z szlachcicem wielkopolskim.

— Jakże to, gdzież to przebywaliście? —

pytał Piętka, cmokając językiem, albowiem wino coraz to lepiej mu smakowało.

Gospodarz z „Pod ryby“ zrobił tajemniczą minę, nachylił się do ucha Piętki i szepnął:

— Samą królową wozilem do Sandomierza.

— Wy?

— A już cię ja. Dużoby wam o tem opowiadać, w nielada opalach ja już byłem, z nielada personami gadałem.

— Opowiadaj że waść, bo mnie ciekawość pali — dopraszał się podchmielony szlachcic.

— Zaraz, jeno myśli zbiore, aby godnie wam te nadzwyczajne przygody opowiedzieć.

— Ja wam dam dobrą radę, drogi gospodarzu z „Pod ryby“: więcej pijcie, mniej myślcie, a zobaczycie, jak wam gładko pójdzie.

— Te pono jeno wielkopolanie w winie myśli szukają, ja mazur i jeno na własną głowę liczę.

— Ba! — rozśmiał się Piętka, odejmując od ust kubek — dla tego tak na własną głowę liczyć, żeście nie słyszeli bajki o gawronie.

— A cóż to był za gawron?

— Taki co miał jeden łeb, ciągle myślał i myślał, a mimo to gawronem w setne lata został.

— Dajcie pokój przymówkom, mości szlachcicu, i lepiej posłuchajcie, bo już wszystko jak najwyraźniej w pamięci stanęło.

— Walny szlek z was, mości Baryłko, kiedy na żartach się znacie. Ano kiedy tak, to chociażście mieszczanin i do klejnotu szlacheckiego daleko wam jeszcze, chętnie druham wam będę. Opowiadajcie!

— Dobrze, jeno pierwaj muszę zobaczyć, co tam nasz chory porabia.

Stach spał, leżąc na miękkiej słomie. Ruch wozu po równym gruncie łaki leśnej nie drażnił go i uśmierzonego bólu w ramie nie budził.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się teraz przed oczyma jadących nieskończona zielona wstęga łak leśnych. Z obu stron pochylały się nad nią, niby troskliwe opiekunki brzozy, osiny, leszczyny i niezliczona, drobna brać leśna.

Powietrze było czyste i wonne, czas miły i ciepły.

Baryłka pochylił się znowu tajemniczo do ucha swego towarzysza.

— Wiecie, że mną przed kilku dniami sam król rozmawiał. Te lalki, co to udawały wojsko, wiecie kto robił? Aniby wam na myśl przyszło! Ja, jak mi Bóg miły... z tymi oto ludźmi, którzy za nami jadą. A król to był przy nas tak, jak ja przy was w tej chwili.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wygnańcy w lesie.

Powieść z angielskiego

przez R. M.

(Ciąg dalszy.)

Prąd wody niósł tratwę też pod galeziami pochylonych nad wodą drzew. Guapo starał się nią tak kierować, aby wystające potężne konary drzew nie zniosły dachu z chatki. Nagle, oswojona malutka małpeczka, którą Leonka wyniosła jeszcze z domku palmowego, a z którą nie rozstała się przez cały czas podróży, zaczęła okazywać niezwykle zaniepokojenie: biedne stworzonko co chwila wchodziło na dach i zaraz z niego zeskakiwało, wydawało krzyki przenikliwe i z niewysłowioną trwogą spoglądało na gałąź drzewa, jak gdyby coś strasznego kryło się między liśćmi. Wszyscy zaciekawieni tak dziwnym zachowaniem się małpeczki, przyglądali się także owej galezi i niebawem dostrzegli na niej łeb olbrzymiego węża, wychylający się z pomiędzy liści — był to straszny wąż wodny dusiciel. Posuwał się on powoli po galezi, którą otaczał swemi splotami, a za każdym poruszeniem połyskiwał czarnemi plamami na swej brudno-żółtej skórze. Wąż ten mógł w jednej chwili rzucić się na tratwę, pochwycić z niej kogo tylko chciał i zgnieść go w swych splotach, ponieważ z wielką łatwością może on zdusić kozę lub nawet jaguara. Don Pablo i Guapo, uzbrojeni w siekiery, stanęli na przodzie tratwy w postawie oczekującej, a donna Izydora skryła się do chatki wraz z dziećmi. Zaledwie zdążyła spuścić zasłonę, gdy tratwa podpłynęła pod gałąź na której przebywał dusiciel. Don Pablo i Guapo uderzyli siekierami w okropny łeb, ale ciosy chybiły. — Dusiciel rzucił się w tył, a prąd odsunął tratwę nieco dalej. Straszny łeb ukazał się znowu i zwrócił się do chatki, gdzie się schroniła donna Izydora z dziećmi. Przez rozchylającą się zasłonę, widać było osoby znajdujące się w chatce i wąż z łatwością mógł porwać którą z nich. Don Pablo, nie mogąc temu przeszkodzić, w strasnej trwodze osunął się na kolana i błagał Boga o litość.

Tymczasem tratwa posuwała się wciąż naprzód i łeb dusiciela już tylko o lokcie oddalony był od otworu chatki; oczy jego świeciły straszliwym blaskiem, czuł już zdobycz i gotował się do porwania jej.

Nagle rozległ się krzyk przeraźliwy i malutka małpeczka, siedząca dotąd na kolanach Leonki, spostrzegłszy wlepione w siebie oczy węża, nie mogąc się oprzeć strasnej władzy ich spojrzenia, sama jak zaczarowana, wyszła ku węzowi, krzycząc z trwogi. Za chwilę zniknęła ona w paszczy potwora, który cofnął się między galezie, aby dokładnie polknąć zdobytą kasek. Tymczasem tratwa z pomocą Guapa i don Pablo, pomknęła szybko

i wkrótce okropne drzewo, wraz z węzłem, zniknęło w oddali.

Don Pablo przycisnął do serca żonę i dzieci, dziękując Bogu za cudowne ocalenie. Leonka długo uspokoić się nie mogła po stracie miłutkiej małpeczki, która była do niej bardzo przywiązana i okropną śmiercią swoją ocaliła im życie.

Im bardziej posuwano się ku wschodowi, tem rzeka stawała się szerszą, a w wielu miejscach pokazywały się liczne wysepki, porośłe drzewami. Na wybrzeżach wznosiły się różnorodne, niezmiernie ciekawe drzewa, dostarczające wiele cennych materyałów jak farb, kauczuku i wielu innych. — Ale najbardziej podobała się naszym podróżnikom bertolecja, drzewo z rodzaju mirtów, którego pień dość cienki, wznosi się do sześćdziesięciu lokci wysokości. Galezie bertolecji wyrastają poziomo, pokryte są liśćmi pięknego, srebrzystego koloru. Owoce jej, wielkości głowy ludzkiej, są okrągłe, pokryte twardą skorupą, pod którą mieści się dwadzieścia lub więcej trójkątnastych orzechów, znanych u nas pod nazwą brazylijskich.

Dnia tego, podróżni nasi, po bezsennej nocy wcześniej przybili do brzegu na dłuższy odpoczynek, tymbardziej, że miejscowość okazała się dogodną z powodu o wiele rzadszej roślinności. Zjedzono obiad na prędko i cała rodzina zapuściła się w las na przechadzkę. Zaledwie zrobiono sto kroków, gdy w pobliżu dał się słyszeć zmieszany gwar głosów dziwnych i różnorodnych, jakby wszystkie zwierzęta puszczy zgromadziły się na pogawędkę. Podróżni nasi, zaciekawieni, ostrożnie zbliżyli się do miejsca, skąd przychodziły te głosy, a ukryci w gęstwinie krzewów, ujrzeli dziwne widowisko.

Na dość dużej polance rosła wspaniała bertolecja, pokryta mnóstwem dojrzałych owoców, które zaczynały już spadać. Dokoła tego drzewa zgromadziła się wielka ilość ptaków i zwierząt czworonożnych, a także małp.

A więc najpierw były tam trzy gatunki gryzoniów, czyli takich zwierząt, które jak myszy, wiewiórki lub zające mają przednie zęby rosnące przez całe życie, a tem samem usposobione są do gryzienia twardych przedmiotów. Największe z nich były paki, wielkości dużego zająca i do niego też podobne, ale z krótkimi uszami i z dużemi białemi wąsami, jak u kota. Dalej podobne do pak tylko mniejsze aguti i wreszcie kapibary, z postaci przypominające prosięta, ale z głowami podobnemi do króliczych i z pazurami u nóg.

Oprócz tych gryzoniów dokoła bertolecji zgromadziło się jeszcze wiele gatunków małp. Więc najpierw poważna para brodaczy, dużego wzrostu, silnej budowy, z szerokim, puszystym ogonem. — Brodacze przebywa na drzewach, a twarz ma najbardziej podobną do człowieka ze wszystkich małp amerykańskich. Na czoło kolisto spada mu gęsta grzywa, ma przytem wąsy i długą brodę, która mu spada aż na piersi. Samica ma także brodę,

ale o wiele krótszą; oboje ogromnie dbają o tę ozdobę swej twarzy — samiec gładzi ją ręką od czasu do czasu z miną poważną. W pobliżu bertolecji znajdowało się źródło wody, do tego źródła brodacze często podchodzili pić wodę, nie pili jej jednak pyskiem lub językiem jak inne zwierzęta, ale czerpały dłonią i pili z wielką ostrożnością, aby nie rozlać ani kropelki na swoją drogocenną brodę.

Była tam gromada wyjców, które siedziały w kółko, a jeden z nich, wyglądający na dowódcę całej bandy, rozpoczął jakąś przemowę; w głosie jego tyle było najrozmaitszych tonów, że zdawało się, iż to nie jedna mała, ale cała ich gromada wykrzykuje naraz; gdy zaś od czasu do czasu w istocie wszystkie wyje ryknęły razem, wtedy głos ich przeraźliwy o pół wiorsty słychać było.



Słuchaj zawsze ojca!

Józiu był dobrym chłopakiem i rodziców bardzo kochał, ale miał tę brzydką wadę, że nie mógł długo na jednym miejscu dosiedzieć, lecz ciągle biegał i skakał i to bez najmniejszej uwagi. Ojciec bojąc się, aby sobie czego nie zrobił, upominał go, mówiąc:

— Oj, Józiu! bądź powolniejszym i uważniejszym, bo jeśli tak ciągle biegać i skakać będziesz, padniesz kiedy i nogę lub rękę złamiesz, a przy najmniej guza się nabawisz.

Ale słowa ojca nie odniosły skutku. Józiu się nie zmienił. Razu jednego wyszedł ojciec na przechadzkę i zabrał Józia ze sobą. Józiu cieszył się z tego bardzo, gdyż mu ojciec zwykle różne ciekawe rzeczy opowiadał, ale zamiast iść skrośnięcie obok ojca, począł jak zwykle biegać i skakać. Droga ich prowadziła przez łąkę, przez którą płynął dość szeroki strumyk. Po drugiej stronie jego dojrzał rosnące niezapominajki, postanowił więc strumyk przeskoczyć, by ich narwać dla swej młodszej siostrzyczki.

— Ej, nie rób tego — przestrzegał go ojciec — strumyk jest dosyć szeroki, mógłbyś nogę złamać lub ją wywinąć.

Ale Józiu mimo tej przestrogi zapuścił się i przeskoczył wprawdzie strumyk, ale tak nieszczęśliwie, że sobie nogę wywinął w kostce. Zaczął więc krzyczeć z bólu i błagać ojca o ratunek, gdyż nogą nastąpić nie mógł.

— Widzisz, mój synu — rzekł mu wtedy ojciec, pomagając mu powstać na nogi — spełniło się to, com ci oddawna przepowiadał przed czem cię przestrzegałem. Nie usłuchałeś ojca, teraz cierpieć musisz. Pamiętaj, że zawsze tak bywa dzieciom, które przestróg ojca nie słuchają.

Przy pomocy ojca Józiu zawlókł się z trudnością do domu i przez sześć tygodni musiał leżeć w łóżku z obandażowaną nogą; a potem jeszcze długo tylko o kiju mógł chodzić, co dla niego było wielką karą. Ale to mu wyszło na dobre, bo gdy wreszcie zupełnie wyzdrowiał, nie biegał i skakał bezmyślnie, ale stał się powolnym i rozważnym chłopczykiem i ojca zawsze we wszystkim słuchał.

Nie rób, czego ojciec każe,
Pan Bóg nieposłuszeństwo karze.



LAMIGŁÓWKI.

I.

Wyrazów 7. Rzad środkowy i litery środkowe, czytane z góry na dół, składają nazwisko malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów:

- 1) M.....
- 2) Zaimek w liczbie mnogiej przyp. II.
- 3) Osoba wychowująca nas i pielęgn.
- 4)
- 5) Wyspa w Australii.
- 6) Rzeka.
- 7) O.

II.

Pierwsze z drugim jest znacznem we Włoszech [jeziorem,
Drugie z trzecim tkaniną z wykwinnym pozorem.
Pierwsze z trzecim krzewiny i drzew pnie osłania.
Wszystko wraz bywa częścią prostego mieszkania,
Albo całym budynkiem obszernych rozmiarów,
Przeznaczono czasowo dla obcych towarów.



Rozwiązanie lamigłówek z nr. 6.

I.

- | | |
|--------------|-------------|
| 1) ANNA. | 8) KINGA. |
| 2) DROMADER. | 9) IGŁA. |
| 3) ARNU. | 10) EWA. |
| 4) MALINA. | 11) WINO. |
| 5) MIOD. | 12) IRYS. |
| 6) IRYS. | 13) CELINA. |
| 7) CEJLON. | 14) ZAJĄC. |

II.

1. Warta — rzeka.
2. Warta — miasteczko.
3. Warta — posterunek wojskowy.